

## Zofia Książek-Bregułowa

część I z III

Sygnatura notacji: **N0063**  
Data urodzenia: **14.03.1920 r.**  
Data nagrania: **28-29.08.2007 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Jacek Bąk**  
Czas nagrania: **część I: 56 min, część II: 60 min, część III: 40 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Zofia Książek-Bregułowa:** Moim miastem rodzinnym są Kielce. Tam przyszłam na świat 14 marca 1920 roku i tam w 1934 roku ukończyłam szkołę powszechną imienia Stanisława Konarskiego, bo tak się wtedy nazywała szkoła podstawowa. Maturę otrzymałam w 1938 roku. Skończyłam wtedy szkołę handlową i ponieważ od 1937 roku moim wielkim postanowieniem było zostać aktorką, oświadczyłam to rodzicom ku ich przerażeniu. Ale niestety nie mogłam od razu wyjechać do Warszawy, do Instytutu Sztuki Teatralnej, ponieważ musiałam popracować trochę i zarobić sobie na cywilne ubranie i tak dalej, i na rozpoczęcie samodzielnego życia w Warszawie. W czerwcu 1939 roku, w końcu czerwca znalazłam się w stolicy i od 1 lipca przez dwa miesiące przygotowywałam się do szkoły teatralnej u profesora Marso. Egzaminu nie składałam, bo wybuchła wojna. Cały wrzesień byłam w Warszawie. Nie wróciłam do Kielc, ponieważ w listopadzie, już od 15 listopada właściwie do końca lipca 1944 roku byłam studentką Tajnego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie. I zdawałam, co pół roku były egzaminy. Dawałam bardzo dużo koncertów tajnych po prywatnych mieszkaniach w Warszawie i w Kielcach. Były też organizowane koncerty dla szkół powszechnych, bo tylko takie były oficjalnie w czasie okupacji niemieckiej. W Powstaniu Warszawskim wzięłam czynny udział. Właśnie od 1942 roku pracowałam na odcinku kulturalno-oświatowym w AK. W Powstaniu byłam łączniczką oddziału szturmowego 3. Kompanii porucznika Lewara, nazwisko Jan Piotrowski, w zgrupowaniu „Krybar”. 5 września w 1944 roku, opiekując się kolegami ze szturmówki, rannymi w osłanianiu przedarcia się górą ze Starego Miasta, właśnie byli ranni ciężko i w szpitalu przy ulicy Świętokrzyskiej, opiekując się nimi, byłam tam odkomenderowana i 5 września, to było od 2 do 5 września tam byłam i 5 września byłam ciężko ranna. Nastąpił wybuch Berty, tego ogromnego pocisku. Byłam ranna w nogi, klatkę piersiową, głowę. Straciłam lewe oko. Dopiero po ośmiu dniach znalazłam się pod fachową opieką okulisty. Doktor Olszewska stwierdziła, że lewe oko stracone,

w prawym poczucie światła. Iskierka nadziei. Niemcy przyrzekli, że wszystkich rannych zawiozą do Krakowa, do Kielc, do szpitali polskich. Niestety zamiast tam, znalazłam się transportem rannych w Gros-Lubars, w Stalagu XI A, w okropnych warunkach zresztą. Już na stacji kolejowej Gros-Lubars Niemcy odebrali lekarzom polskim i pielęgniarkom, którzy z nami jechali, wszystkie środki opatrunkowe i lekarstwa, tak że dziewczęta, które były ranne tuż przed kapitulacją Warszawy, po prostu umierały bez pomocy. Już tam w obozie, jeszcze miałam bandaż na oczach i w ogóle, zaczęłam śpiewać, recytować. Na Boże Narodzenie w 1944 roku komasowano wszystkie dziewczyny i kobiety z Powstania Warszawskiego, do jednego obozu przewożono z rozmaitych innych mniejszych obozów do Oberlangen koło Lathen i tam w tym obozie już rozwinęłam swoją działalność aktorską. Najpierw z czarną opaską na oczach, potem w ciemnych okularach. Chodziłam od baraku do baraku i tam dawałam około 2-godzinne występy. Wszystko to, czego się nauczyłam przez pięć lat, i wiersze, i monologi ze sztuk, dialogi, po prostu ja zapominałam o tej strasznej rzeczywistości i dziewczęta też dziękowały mi bardzo, przenosiły się w inny świat przez te dwie godziny. Po wyzwoleniu obozu uwolnili nas Polacy, ku naszej ogromnej radości, ale i zaskoczeniu, bo nie spodziewaliśmy się, że akurat Polacy nas wyzwolą, 12 kwietnia w 1945 roku. I zaczęłam energicznie w ogóle, samodzielnie właściwie starać się, żebym jak najszybciej dostała się do Anglii pod opiekę jakiegoś profesora okulisty. I rzeczywiście od lekarzy z dywizji Maczka, bo żołnierze dywizji Maczka nas uwolnili. Pamiętam ten dzień, 12. To było tak ogromne wzruszenie. Poprosiłam, żeby mnie do jakiegoś żołnierza przyprowadzono, żebym mogła... Pytałam się, czy mogę pogłodzić mundur jego i tak powtarzałam trochę bez sensu, gładząc ten mundur polski i od lekarzy właśnie wojskowych, dowiedziałam się, że w Edynburgu jest wspaniały profesor Jan Ruszkowski, że do niego nawet Anglicy przyjeżdżają, że wspaniały jest. „Gdyby tak pani mogła się...”. Ale jeszcze to była wojna, bo to kwiecień był i zaczęłam intensywnie myśleć. Po dwóch dniach wiedziałam, że do naszego obozu, bo to przyjeżdża czołówka angielska filmowa i podyktowałam koleżance taki króciutki list, ołówkiem pisany, do profesora, do Edynburga, do szpitala Paderewskiego, co się stało ze mną i tak dalej, że błagam go o... Żeby coś zrobił, żebym jak najszybciej znalazła się pod jego opieką. I jak przyszli ci Anglicy, myśmy w obozie to miały bardzo życie takie, że były i komplety dla tych najmłodszych, starsze nauczycielki, potem były wykłady z muzykologii. W ogóle ja te koncerty dawałam, było takie życie ożywione. Jednocześnie uczyłyśmy się trochę angielskiego i ja przywitałam tych Anglików. Pamiętam, całą noc nie spałam, żeby powiedzieć: „very, very happy that you came to visit us”. I to był kapitan jakiś, i jego asystentką, a jednocześnie łączniczką między angielską a polską armią była Diana Tauber, aktorka filmowa, żona Ryszarda Taubera, śpiewaka austriackiego. A ja przed wojną przez dwa lata to ja ciągle kupowałam te pisma i znałam wszystkie nazwiska. I ten list poprosiłam i dałam tej Dianie Tauber, żeby wysłała do Szkocji. Proszę sobie wyobrazić, że za dwa tygodnie miałam odpowiedź od profesora, jakiś polski lotnik mi przywiózł ten list. Bo to wtedy była euforia w ogóle wielka, tyle wizyt było rozmaitych i rzucali nam z samolotów czekolady, i pozdrowienia, i tak dalej. Ale zaczynam się rozgadywać, tak że to niedobrze. Odpowiedziałam profesorowi. Aha, napisał, że porobił już starania u władz angielskich i polskich i zrobi wszystko, co w jego mocy, jak się znajdę pod jego opieką, żeby mi wzrok zwrócić i będzie szczęśliwy właśnie. Piękny list. Zaraz koleżanka napisała odpowiedź i za następne dwa tygodnie Kanadyjczycy przyjechali. Ja się akurat szykowałam na koncert, miałam wystąpić w następnym obozie w Niederlangen, gdzie się dziewczyny zdrowe przeniosły po tym uwolnieniu, a tu Helena Grosówna wpada, to aktorka była z nami też, „Zośka, szykuj się, Kanadyjczycy przyjechali. Mają tylko na kartce napisane Zofia Książek. Jedziesz do Anglii”. I po dwóch dniach, bo najpierw karetką, potem tam do Cloppenburg, z Cloppenburg do Brukseli samolotem takim transportowym, bo potem normalnie już Anglicy w Brukseli, siostry z Czerwonego Krzyża i do Swindon najpierw, tam St Mark's Hospital to był taki

pierwszy w Anglii szpital, gdzie z kontynentu rannych zwozili. Tam byłam parę dni, to ciągle tylko mówiłam: „Profesor Ruszkowski [niezrozumiałe, 00:13:30]”, żeby mnie szybko tam, ale tam mnie oglądał profesor Davenport i jak się później dowiedziałam, on nie dawał żadnej nadziei. Ale wreszcie w skrótach, to znalazłam się 25 maja w 1945 roku pod opieką profesora Ruszkowskiego, przeszłam dwie operacje. Po pierwszej właśnie od razu zobaczyłam, pamiętam ten dzień, w ogóle skupienie na sali ogromne i na deser podano nam czereśnie, i profesor się pyta: „Jak pani widzi?”. Ja tak podjęłam te czereśnie z talerzyka, tak tu pamiętam, bo to oko było właśnie żywe i one się tak kiwały, ja mówię: „Panie profesorze, wisienki są czerwone i okrągłe”. Ja to naprawdę zobaczyłam. I widziałam... Odzyskałam wzrok, tak jak oni mówili i trzy palce na pół metra. W ogóle to było tak około 2%, ale widziałam wszystkie kolory świetnie, z daleka widziałam zarysy drzew, tylko trochę tak jak malowali impresjoniści, że taką leciusieńką woalą, mgły czy zaślony jakieś. Właśnie niewyraźnie, dlatego że miałam jeszcze zaćmę też. Potem mi robili drugą operację, która nie posunęła sprawy naprzód, ale też nic nie zepsuli. Tam mnie badali na różne inne rzeczy. I osiem miesięcy byłam w szpitalu Paderewskiego. Potem mnie dano do takiego domu, rekonwalescencji, w Galan, niedaleko Edynburgu. Żołnierze tam byli. Ja jedna jedyna byłam znowu, znaczy dlatego w szpitalu też jedna jedyna byłam właśnie, taka już prawie nie widząc. Więc w ogrodzie, tam jeszcze w szpitalu jak byłam, jak wyszłam do ogrodu właśnie, to widziałam nawet tak, tylko troszeczkę pochyliwszy się, takie białe plamki. To stokrotki zbierałam, pamiętam, z ogromnym przejęciem i tak dalej. I w tym rekonwalescencji w Galan było zastanawianie się, co dalej. Ale jednocześnie muszę powiedzieć że w szpitalu Paderewskiego poznałam mojego przyszłego męża właśnie, bo koleżanka... Jeszcze muszę powiedzieć, że profesor powiedział, jak przyjechałam, że gdybym przyjechała tydzień później, to już by nic nie mógł zrobić, bo dno oka byłoby za twarde i by nie mógł nic zrobić. Tak że ja właściwie... A wszystkie ranne po mnie dopiero w Anglii znalazły się w końcu czerwca. A ja byłam już w końcu maja właśnie. Takie zrzędzenie losu, że właśnie miałam tego światła i to tyle. I tam właśnie jedna z koleżanek była też w szpitalu, coś miała z nogą właśnie i to był czerwiec. Aha, bo ja miałam operację 24 czerwca. 4 czerwca miałam pierwszą operację z oczu, a 20 czerwca zoperowano mi nogę, bo w kości przy kolanie miałam dużą bliznę, która się nie chciała, ciągle tam ropa szła i okazało się, że tam mam odłamki, i musieli to usunąć. Leżałam pięć tygodni z nogą na wyciągu. Ale to się już kończyło, bo to był około 24 lipca w 1945 roku i ta koleżanka przybiega, i mówi: „Zosiu...”, w czytelnicy tam szpitalnej, w świetlicy, „Takiego człowieka spotkałam. Taki fantastyczny, skrzypek. Opowiadałam mu o tobie i on wyraził chęć poznania cię” i tak dalej, i przyszedł z kolegą nazajutrz, i rozmawialiśmy, śpiewałam piosenki powstańcze, on grał na skrzypcach, grał Wieniawskiego. Pamiętam takie drobiazgi jego, kujawiaka i dudziarza. Rozmawialiśmy. Na drugi dzień już mogłam wstać i idę przez... Ona tylko obok idzie, a ja idę sama i tak się strasznie cieszyłam, bo widziałam białe kitle, w ogóle białych lekarzy, to jak małe dziecko krzyczałam: „O, pan doktor. O, pan doktor”. Że widzę. I on stał przed świetlicą, tak światło na niego padało, to ja właśnie więcej widziałam. Przywitaliśmy się, ja tak patrzę, patrzę i mówię też tak jak dziecko, tak palcem pokazałam, mówię: „O, pan ma takie duże niebieskie oczy”, a on powiedział, że się strasznie cieszy, że właśnie zobaczyłam, to, że widzę. I poszliśmy do tej świetlicy, i już od razu żeśmy tak rozmawiali, jak byśmy się 100 lat znali. On mi opowiadał o swoich przeżyciach, ja jemu o szkole teatralnej, on o tych skrzypczkach, o konserwatorium w Katowicach, bo on był stąd ze Śląska. I tak jakoś my się zaczęli codziennie... On był właśnie z tarczycą w tym, ale w sierpniu miał urlop i mógł nie przychodzić. To on codziennie przychodził, czytał mi, uczył mnie angielskiego, chodziliśmy na spacer. I po trzech tygodniach ja siedziałam na ławce tam w ogrodzie z innym, tam była masa Polaków wtedy z różnych formacji i tak dalej. Z takim Bronkiem Rudnickim, pamiętam. A to właśnie był koniec sierpnia. A Władzio cichutko przyszedł. Myśmy tacy rozgadani, roześmiani byli, przyszedł

z lewej strony, tak że w ogóle nic, ja ani go nie widziałam, ani tego i do ucha. Powiedział mi po angielsku: „I love you”, ale to tak powiedział, że mnie całe ciarki przeszły w ogóle. A zaraz ten Broniek odszedł w ogóle i on pyta mnie, żebym ja została jego żoną, czy ja się zgodzę zostać jego żoną. To już takie oświadczyły. A ja powiedziałam: „Coś ty, ja się nie nadaję w ogóle na żonę. Ja tylko na aktorkę się nadaję”, mówię. „Ja nie znoszę gotowania, nie znoszę sprzątnia. Mnie to nic nie interesuje”. W domu zawsze mówiła mama, że taki leń jestem. Uciekałam ciągle z wierszami, z poezją do lasu pobliskiego, co z tej dziewczuchy wyrosnie, straszne narzekania były na mnie albo że wariatka jestem, że chcę do tej Warszawy jechać, to w ogóle było okropieństwo, a tutaj ja mówię: „Nie”, to on powiedział, że on wszystko będzie robił i tak się w ten sposób zaręczyliśmy. I potem do tego rekonvalescence house to właśnie przychodził co dwa dni, a on pracował wtedy już w takim Polish Oktet, takim zespole muzycznym i jeździli po obozach, do obozów polskich żołnierzy i angielskich. Po prostu z koncertami. Była śpiewaczka też, pianista, też polski żołnierz, Galon Lucjan. Potem wrócił do Polski też. Więc... Tak że ze dwa razy w tygodniu albo raz w tygodniu był w tym Galan i zdecydowaliśmy, że wrócimy do Polski. Ja zaczęłam bardzo intensywnie wtedy się zastanawiać i tak, z jednej strony radość wielka, że takiego człowieka fantastycznego spotkałam, który naprawdę był tak dobry dla mnie i taki czuły, i taki delikatny, subtelny ogromnie i muzyk, artysta. Ja zawsze tylko uważałam, że artyści, to... Sympatię to miałam tylko do artystów. Nie znosiłam taki... I taki, no... Więc z tego się cieszyłam, ale z drugiej strony myślałam o moim zawodzie, co to będzie. Co to będzie? Ja nie zrezygnuję, ale... I że do końca życia już będę tą dziewczyną prawie niewidomą, bo chodziłam sama po ogrodzie, ale nie mogłam się tam na miasto sama absolutnie tego. Po dwóch miesiącach przyjęli inną dziewczynę, która też słaby wzrok miała, ale daj Boże, ona ze mną chodziła na spacer i tak dalej. Taka Halinka Kowalska. I miałam przyjaciółki Szkotki, które do mnie przychodziły. Niedaleko tego Galan było takie miasteczko, Northbury. Na drinka, na tego, ale nie mogłam więcej niż jednego drinka, bo jak wypłam dwa, to się zaczynała straszliwa rozpacz i przeżywałam to ogromnie. Miałam wizytę panów z Czerwonego Krzyża z Londynu, niesamowitą wizytę. Zapytali mnie się, czy bym się chciała uczyć grania na akordeonie. Wiedzieli o mnie wszystko. Że ja jestem studentką po szkole teatralnej, o Powstaniu Warszawskim, to wszystko wiedzieli, a ja miałam nerwy wtedy fantastyczne jeszcze. Ja się uśmiechnęłam i powiedziałam, że: „Proszę panów, ja bym wolała na katarzynkę, żebyśmy na katarzynce, tylko wtedy byście mieli większe wydatki, bo trzeba byłoby kupić może papugę i małą papugę jeszcze”. Taką przyszłość mi szykowali. Dziewczyna niewidoma pod murem gra na akordeonie, tak? Oni zaniemówili i odeszli. Ale ja powiedziałam, że ja nie zrezygnuję z zawodu. Potem przyszły dwie panie w mundurach angielskich i zaczęły mi opowiadać o jakiejś instytucji St Dunstan's. Że to jest szkoła założona w roku 1915 przez lorda Pearsona, który stracił w I wojnie oczy. Cały majątek dał, żeby szkolić i przystosowywać do normalnego w miarę życia żołnierzy, którzy na frontach będą tracić wzrok. To jest wspaniała instytucja. I zaczynają mi opowiadać, czego się tam będę uczyła i to, i tamto. Ale ja powiedziałam, że nie, że ja wracam z moim narzeczonym do Polski, a one za miesiąc znowu przyszły drugi raz. I zaczęliśmy z Włodkiem, mój mąż Włodzimierz miał na imię, zastanawiać się, bo to jeszcze wyjazd do Polski, to nie było tak, że dziś się zgłaszam, jutro jadę. To trzeba było czekać. I żebym zobaczyła, jak, co tam jest, co to jest w ogóle. Że w końcu zdecydowałam się pojechać, ta szkoła ogromna mieściła się w Ovingdean, koło Brighton, nad samym kanałem La Manche. I zawieziono mnie tam. Na drugi dzień... Aha, i umieszczono w willi Belmond. Były dwie dziewczyny niewidome angielskie, Ayli Nistella wtedy, na przeszkoleniu i Meytron ta i dwie do obsługi, i kucharka w ogóle, a my tylko trzy byłyśmy. Pamiętam, że na pierwsze, na ten... A już znałam angielski oczywiście. Bo cały czas się uczyłam angielskiego. Piosenek rozmaitych, już zanim mnie zabrano, to takie zebranie było w Glasgow i tam byłam z Włodkiem, pamiętam, że ten prowadzący, ten prezes jakiś, mówią:

„Tu mamy polską dziewczynę, Zofię”. „Książek” to nie mogli w ogóle wypowiedzieć, skąd. „Książek, Książek”, to jest za trudne dla Anglików. Zofia. I pyta mnie się: „Do you speak english?”, a ja powiedziałam: „Just a little”. Och, jak mi bili brawo, że tak ładnie powiedziałam: „Just a little”. I na kolację dali jakieś takie zimne mięso, takie coś i marchewkę, kawałek buraka i liść sałaty. Ja powiedziałam, że nie, że tego nie będę jeść. Że sałatkę, ale to... Jeszcze powiedziałam: „I’m not a rabbit”, tak mi się podobało, że nie jestem królikiem i że nie będę tego jeść. Na drugi dzień od razu do komendanta. To było wojskowa cała ta... Kapitan Drews się... Nie, zapomniałam nazwisko w tej chwili. I on powitał mnie, i powiedział, że mogę wybrać zawód jakiś. Mogą mnie jako telefonistkę uczyć, na telefonistkę albo robienie dywanów. Tam mi mówi, a ja to wysłuchałam tego i ja powiedziałam, że ja nie będę się uczyć tutaj żadnego zawodu, bo ja jestem aktorką, ja trochę widzę i ja na pewno będę swój zawód wykonywała albo w radiu, albo w ogóle jakieś koncerty. A on mówi: „Just like Esmond Knight”. Tak jak Esmond Knight. Padło to nazwisko. Ja mówię: „A kto to jest Esmond Knight?”. „A, to jest nasz [niezrozumiałe, 00:30:04]” już był po przeszkoleniu, ale nie chciał się też uczyć ani nic żadnego, też aktor, który stracił lewe oko. W prawym miał trochę widzenia, to identycznie. Myśmy potem sprawdzali, bo ja go poznałam. Stracił wzrok w tej wielkiej bitwie „Sink the Bismarck”, zatopić Bismarcka. To tam brały okręty angielskie i polskie na Pomorzu północnym, zatopili rzeczywiście. On był już przed wojną aktorem, ale był w randze, nie wiem... W każdym razie był w wojsku angielskim i właśnie był w marynarce, i na Prince of Wales, i właśnie był ranny, i stracił wzrok. Nie chciał się uczyć i... A ja mówię: „No i co? Nie chciał się uczyć tutaj, to co z nim jest teraz?”. „Proszę pani, on występuje w teatrze, w filmie, w radio, po szkołach jeździ”. Ja mówię: „No, właśnie. To ja też prawdopodobnie tak samo widzę, jak on”. „To musimy wymyślić coś. Ale Braille’a może pani się będzie uczyć, pisanie na maszynie”. „To bardzo – mówię – tak, ale żadnego zawodu nie”. I tak się zaczęły moje te... Ale to za tydzień czy dwa... Aha, dano mi specjalną nauczycielkę angielskiego jeszcze, żebym pogłębiała angielski, warunki fantastyczne i chodziłam sama do tej szkoły z tej willi Belmont na Beacon Hill. Było jakieś siedem minut drogi na wzgórze takie. Była droga piękna, po jednej stronie łąka, po drugiej. Szłam sobie tam. Autobusy czy coś, to miały, wszędzie tam było napisane St Dunstan’s. To w ogóle nie jeździły tam, a jak jeździły, to uważali. Chodziłam sama do tej szkoły. I zaczęłam te lekcje. Chyba za tydzień wołają mnie znowu do tego, że wymyślili to, że czy ja bym nie zechciała, że mogłabym zdać egzamin i chodzić na lekcje w Royal Academy of Dramatic Art w Londynie. Więc ja byłam, że tak, naturalnie. A dali mi taką nauczycielkę angielskiego, była aktorką, Muriel Egerton Smith. Tam jest dużo Smithów. To najpierw mają jakieś inne nazwisko, ta nasza Meytron na Beacon Hill to też się nazywała Smith, to miała Luington Smith. A ta nauczycielka moja Egerton Smith. Uroczna pani. Myśmy się tak zaprzyjaźniły później i ona przygotowała monolog świętej Joanny Shoah. Ja tak zostałam do St Dunstan’s przyjęta 16 września w 1946 roku, a 16 listopada pojechałam z nią do Londynu, na Gower Street właśnie do tej Royal Academy i przed dyrektorem, i przed dwoma profesorkami ten monolog zaprezentowałam świętej Joanny, jak ją już na stos, ale jej przyrzekli, że jak ona powie o tych glosach, że to tego, to ją zwolnią, a oni mówią, że na dożywotnie więzienie i to fantastyczna scena. Wstałam z fotela i ten monolog po tego. I on powiedział, ten dyrektor, że: „Warsaw Academy of Dramatic Art must have very, very good teachers”, powiedział. Tak że nie przyniosłam wstydu mojej szkole warszawskiej i powiedział, że od stycznia... Aha, tylko mnie zdenerwował okropnie, ale ja byłam spokojna, spokojniejsza niż teraz. Teraz to moje nerwy już wysiadają bardzo często, a tam było po tym powiedzeniu, pyta mnie się jeszcze, czy w Polsce jest znany Szekspir. To myślałam, że mnie coś się stanie, ale uśmiechnęłam się i powiedziałam, że tak. „Jakie sztuki?”. To tam z dziesięć od razu mu wymieniałam. Był zadowolony. I że od stycznia zacznę lekcje gry aktorskiej, mimiki. To są takie sceny na wyobraźnię. Myśmy też mieli to w Warszawie, Wyrzykowski to prowadził, Marian. Powiedzą tam dwa słowa i trzeba całą

historię wymyślić, i wszystko tylko twarz, rękami w ogóle pokazać. I dykcję oczywiście. Jak szalona zaczęłam ćwiczyć dykcję angielską w ogóle. Jak przyjechałam do Polski w 1947 roku, miałam próbę głosu w Warszawie, która się udała, ale powiedzieli mi, że muszę trochę nad polskim językiem popracować, bo mam trochę akcent angielski. O, tak mówiłam troszkę tak właśnie. Więc bardzo dużo ćwiczyłam dykcję i trzy razy w tygodniu dojeżdżałam do Londynu z Brighton. Wozili mnie autem do tego i taki był fast train, pociągami w niecałą godzinę. Tam już była z brytyjskiego Czerwonego Krzyża pani, ja dochodziłam do tej barierki, tam z pociągu wysiadałam sama i ona mnie brała, i do teje. Trzy razy w tygodniu. Atmosfera nadzwyczajna. Jak mnie traktowali ci studenci nadzwyczajnie. Wspomnę tylko, że mieliśmy taką, w czwórkę, odegrać taką mimiczną scenkę. Zadali nam zadanie. Ja tam miałam taką jak gdyby wiodącą. Już nie pamiętam co. Tylko ja to pamiętam, ponieważ znalazłam niedawno, mam masę listów, które pisałam na maszynie do mojego narzeczonego wtedy do Edynburga. On codziennie, ja miałam codziennie po dwa listy. Dwa albo trzy listy miałam w ogóle. To pisaliśmy, albo dzwonił, albo te listy tam pisał. I tam opisywałam mu tę scenkę, że po zakończeniu reszta studentów strasznie biła brawo, a jedna ze studentek, która brała udział w tej scenie, tak mnie na ramię tak poklepała i mówi: „Zofia, it's for you”, te brawa są dla ciebie. A ja mówię: „Dla mnie? Przecież myśmy tu razem robili”. „Tak, ale one są dla ciebie”. Taka życzliwość wielka była do mnie. I tak pracowałam nad tym, że codziennie ćwiczyłam oddech, ćwiczyłam dykcję angielską. To się ćwiczy tak, że jakiś się ma trudny w języku angielskim fragment i szybko, szybko tak się mówi, żeby tego. A tam niedaleko koło naszej willi Belmont były inne wille i byli ci ludzie, cywilni ludzie tam mieszkali. I raz jedna tam pani zaczepia naszą Meitron, i mówi, że tu jest taka dziewczyna, w spodniach chodzi, w takiej kurteczce. Mówi: „Taka ładna dziewczyna, ale...” i pokazuje na głowę, że coś nie bardzo ze mną. A ta mówi: „Dlaczego?”. Ta nasza Meitron, „Dlaczego?”. „Bo ona co rano o 7:00 tak przez 10 minut liczy do 30. i potem jakiś fragment mówi jeden i ten sam”. Że dopiero ta powiedziała, że jestem normalna i że ćwiczę do szkoły teatralnej do Londynu. Takie śmieszne rzeczy. Więc miałam życie bardzo... Bo tak, tu się uczyłam tego Braille'a i pisania na maszynie, uczyłam się angielskiego i tam był tak wypełniony czas zajęciami, że nie było chwili, żeby siedzieć i rozmyślać, co to się stało. Ale jeszcze co, bo ja tam nie chciałam pójść też dlatego, że ja się bałam, że jak się znajdę w otoczeniu takich samych, będzie setki takich samych jak ja nieszczęśników, że ja nerwowo nie wytrzymam. Tymczasem jak ja zobaczyłam takie dopiero straszne nieszczęście, dziewczyna jedna ręk... Bo przyjeżdżały na wakacje na dwa tygodnie tak, Willy Gorman, ręk obydwu nie miała i nie widziała nic. Nic. Gwen Obern, Walijska, też przyjechała na wakacje. Jedną to miała tutaj tak, nadgarstek tylko zostawiony. Śpiewaczka, piękny głos, a drugą dotąd nie miała. Chłopiec jeden, który strasznie chciał, żeby ze mną zdjęcie zrobić, jak przyszedł o kulach, bo jednej nogi nie miał, ręki i jeszcze pół twarzy. Lotnik. Pół twarzy, czarna zupełnie, spalona. Jak ja widziałam takie nieszczęście, a ja miałam uratowane nogi, ręce, głos, twarzy nie miałam zmasakrowanej, to ja mówię: „Boże, to ja tu codziennie muszę Bogu dziękować, a w ogóle pomagać im”. Ja z nimi chodziłam do baru, na spacer nad morze, na tego. Jeszcze pomagałam tym, które zupełnie nic nie widziały i wstąpił we mnie taki jakiś duch, żeby się tym tak nie zamartwiać i tak nie płakać jakoś ciągle. Poza tym jakie były rozrywki? Co tydzień przyjeżdżała... Co dwa tygodnie, przepraszam, czy co tydzień, filharmonie przyjeżdżały. Londyńska, paryska, Halle Orchestra, ta z Manchesteru pod Barbirollim. Boże kochany. Ja dopiero tam na te koncerty symfoniczne chodziłam, bo ja zawsze muzykę uwielbiałam, ale cóż, przed wojną nie miałam nawet radia, potem okupacja, nie chodziło się na żadne koncerty, a tutaj zaczęłam... Pierwszy raz byłam z moim Włodziem w Edynburgu na koncercie symfonicznym, to przy 5. Beethovena, którą pierwszy raz, to ja dostałam szoku. Ja musiałam się wstrzymać, żeby głośno nie płakać. Takie wrażenie ta 5. Beethovena na mnie zrobiła. Potem dwie godziny chodziliśmy po Edynburgu i już ja znałam życiorys



Beethovena, tyle wiedziałam, że on ogłuchł. Mówię, a jednak dalej tworzył i ja też nie zrezygnuję z mojego zawodu, chociaż tak słabo widzę. A Włodziu się ogromnie cieszył, bo on uwielbiał muzykę, że Zosia taka wrażliwa, że jestem taka wrażliwa na muzykę wielką. I potem ja już nie mogłam sobie życia wyobrazić bez słuchania tej muzyki. I tam przyjeżdżali, Małcużyński, pierwszy raz Małcużyńskiego słyszałam, Ellen Joy z Australii. W ogóle fantastyczne. Opera, teatr przyjeżdżał. Teatr przyjeżdżał z Londynu. Do teatru chodziłam i naprawdę zaczęłam ten język znać, angielski, że też znalazłam list, ktoś mi czytał niedawno, że opisuję mu sztukę jedną, o czym to jest i tak dalej. To znaczy, że znałam, że wszystko, całą treść tej sztuki, będąc w teatrze chwytałam i że już ten angielski pogłębiałam, i dalej się uczyłam. Tak że bardzo wewnątrz, w ogóle ubogacałam się niesłychanie. Aha, były też takie rozrywki, że robili nam na przykład raz w miesiącu stowarzyszenia kupców angielskich albo restauratorów, albo jakichś tam innych, bale takie w najlepszym lokalu w Brighton wtedy, pamiętam, że była wyższa szkoła pożarnicza. To oficerowie przychodzili, żeby z dziewczętami słabowidzącymi albo niewidzącymi tańczyć, a do chłopców wolontariuszki przychodziły angielskie. Ale ja byłam chyba w dwóch tylko takich, bo ja nie miałam czasu na takie rzeczy. Poważniejsze rzeczy mnie zajmowały, uczenie się tego angielskiego i te role, które tam opracowywałam, fragmenty, bo mieliśmy egzaminy. Ja pamiętam na pierwszy ten w Royal Academy, to fragmenty „A Tale of Two Cities”, „Opowieść o dwóch miastach”. Taki wybrała mi ta profesorka angielska, taki fragment, jak taka biedna szwaczka jedzie na egzekucję, w rewolucji oczywiście francuskiej, a naprzeciw niej jest adwokat, prawnik i rozmowa ich, ona opowiada o tym biednym swoim życiu i dlaczego ona ma umrzeć, dlaczego ona ma tego... No, piękny fragment taki. I ja to wobec tych studentów, to to pamiętam doskonale sama bez listu. Powiedziałam ten fragment, była taka cisza i ta profesorka mówi, żeby przyjść do niej do katedry, blisko do niej. Ja podeszłam i mi mówi tak: „Zofia, ten fragment, ja słyszałam bardzo często. Studenci wybierają bardzo często ten fragment, bo to jest wspaniałe, ale pomijając niektóre angielskiego języka niedoskonałości już takie naprawdę, to tak powiedzianego tego fragmentu ja jeszcze nie słyszałam”. Naprawdę tak powiedziała. To był miód na moje serce. A właśnie z Esmondem Knight, to poznałam się osobiście z jego żoną, Norą Swinburne, też aktorką angielską zaraz po tym moim egzaminie do Royal Academy. Bo on załatwił obiad w jakiejś restauracji tam i z moją tą profesorką, Muriel Egerton Smith, poszliśmy tam. On nadzwyczajny, pół Francuz, już energiczny, w ogóle człowiek taki fantastyczny z długimi takimi włosami przyszedł, bo wtedy nagrywał tam z XVIII wieku jakąś rzecz, to musiał zapuścić. I pytał się mnie, czy ja kurczaki lubię jeść. W ogóle rozmawialiśmy, było dużo śmiechu i nadzwyczajny był ten Esmond Knight. I pełen takiego... Raz myśmy się spotkali, że ja sama przyjechałam do Londynu i on spotkał mnie na dworcu Victoria Station. Tak krzyczał: „Zofia, Zofia!”, ja mówię: „Tu jestem”. Spotkaliśmy się i on sam chodził po Londynie, tak jak ja później po Warszawie przez rok, to prawie że sama chodziłam. Co drugie słowo mówił „Darling” oczywiście, bo tak wszędzie wszyscy mówią i mówi: „Idziemy na herbatę do tej...”, aha, ale mówi: „Najpierw...”, obejrzał mnie jeszcze, takie miał powiększające szkło, ja byłam elegancko ubrana, miałam na sobie sukieneczkę taką w pięknym kolorze i na to miałam taką pelerynkę ze srebrnych lisów, którą jeszcze w Edynburgu kupiłam. Przyniosły dziewczyny, ja mówiłam: „Muszę to mieć”, a miałam dwa funty tylko z żołdu, ale pożyczyłam, potem spłaciłam żołdem i miałam taką... I w Brighton miałam znajomą modystkę, co mi za darmo kapelusze, śliczny taki toczek miałam, więc obejrzał mnie, że wyglądam wspaniale i tego, i mówi: „Idziemy na kawę. Tutaj blisko będzie lokal”, ale najpierw okno wystawowe było i on mówi tak: „Co tu jest na tym oknie wystawowym?”. Chciał sprawdzić, jak ja widzę. I on stał, on nie był za wysoki, bo to marynarz taki, wyższy ode mnie, on stał i widział co, a ja tak lekko się przechyliłam i patrzę, patrzę tak na tę wystawę i mówię: „Rolls, rolls lying on the plate”. Panowie rozumiecie na pewno, nie będę tłumaczyć. Były rogaliki, leżały na talerzu. I ja to zobaczyłam. A on na tej ulicy lon-

dyńskiej zaczął klaskać w ręce, że ja widzę to. Tak się cieszył ogromnie. I wchodzimy do tego niby lokalu, gdzie mieliśmy tę kawę wypić czy herbatę, herbatę. Światła, ja widzę światła, mówimy „Good morning”, a tu nikt nie odpowiada. Więc „Good morning” on jeszcze raz mówi. I on mówi tak: „You know, we are sort of half blind”, że my jesteśmy rodzaj pół niewidomy. A to nikt nic nie mówi, nie było. Ja nie wiem, gdzie myśmy weszli. I on zaraz mówi: „Come on, Zofia. There are thinking, were not half blind, but quite tide”. To znaczy, że: „Chodź, Zosia, idziemy, bo ja nie trafiłem. Tu zaraz będzie na pewno ten lokal bliżej. Bo oni myślą, że my nie jesteśmy pół niewidomi, a całkiem zalani”. „Quite tide” to jest tak, no, zalany po prostu po naszymu. I śmialiśmy się w ogóle. I zaraz naprawdę w drugiej tej kamienicy była ta kawiarnia. On chciał być elegancki, to mi cukier nasypał oczywiście na talerzyk i gadaliśmy, gadaliśmy. Bardzo lubił gestykulować właśnie. Ogromnie się cieszył, że do tej Royal Academy chodzi, ale czas płynął i zbliżał się czerwiec, miał egzaminy, bo pół roku byłam tam właśnie. Egzamin jeszcze miałam, dali mi piękne zaświadczenie takie, bo ja powiedziałam, że my wracamy do Polski. Włódzio się już zapisał, ja powiedziałam Anglikom, że jednak zdecydowaliśmy się wrócić, bo miałam poważną rozmowę z Esmondem i z Norą. Tam było w owym czasie w Londynie samym 2 tysiące bezrobotnych angielskich aktorów, aktorek pełnosprawnych. I nimi się bardzo opiekował, w ogóle koledzy, i szczególnie Laurence Olivier. Tak że... Ale on sam to nie mógł za bardzo... Po prostu ja prosiłam go o całkiem szczerą rozmowę. A zresztą Włodek powiedział, że on nie zostanie w Anglii w ogóle też. Ja miałam możliwość wyjazdu do Ameryki. Mnie chciała zaadaptować pewna Amerykanka, załatwił to dyrektor. To było zanim Włódzia poznałam. Dyrektor Jurasz, bo był w Nowym Jorku i znał tę milionerkę, w ogóle do niej się pisało „Anna Thomas Lane Party Pardy Station New York”. Taki był adres do niej. I opowiadał o mnie. Ona straciła parę lat wcześniej córkę i opowiadał, pokazywał moje zdjęcia, bo tam robili mi zdjęcia w tym szpitalu. I ona powiedziała, że ona chce mnie zaadoptować jako córkę i jak wrócił ten Jurasz, to mówi: „Proszę pani, pani ma wielkie szczęście”. I mi to opowiada, wręcza mi list od niej, w którym ona pisze, potwierdza to, co on mówił, jednocześnie, że razem z transportem instrumentów medycznych, płynie z Nowego Jorku statek z paczką ogromną dla mnie z rzeczami, z bielizną, z sukniami, w ogóle. I proszę sobie wyobrazić, że te instrumenty medyczne przysły do szpitala Paderewskiego, ale paczka została skradziona. Nie dostałam, już mnie tam Polacy kochani niestety... Ja tej paczki nie dostałam. Dopiero jak byłam w St Dunstan’s, wtedy dostałam dwie przepiękne w ogóle paczki. Jak wróciłam, wysłałam za mąż, dostałam paczkę. Miałam kontakt, ale dlaczego nie pojechałam? Więc ja odpisałam jej, że dziękuję za ten list i żeby mi dała czas na rozmyślenie tej propozycji. W międzyczasie mnie zabrano, tam byłam w tym rekonwalescencji house i do St Dunstan’s, i byłam z nią w kontakcie. W kontakcie jeszcze właśnie przed St Dunstan’s. Włódzio pojechał w objazd taki trzytygodniowy na Orkneje czy gdzieś tam na północ Szkocji dalej, a ja pojechałam, wybrałam się w podróż do poznanej jeszcze w St Margaret Hospital, Polki, która była z Warszawy i tam wyszła w 1938 za mąż za Anglika, i miała za zadanie, że całą okupację, całą wojnę, to współpracowała z tym St Margaret Hospital, bo jak przywozili Polaków, nie znali angielskiego, to ona była taką pośredniczką. Do mnie też wtedy przyszła i w ogóle po tygodniu to ja myślałam, że ją zacałuję, bo wreszcie słyszałam polską mowę.

**Jacek Bąk:** Poczekaj, ale idziemy w szczegóły. Powiedz, dlaczego...

**Zofia Książek-Bregułowa:** No, właśnie. Zaraz. I ja pojechałam tam do niej z wizytą, a tu telefon... Nie telefon, tylko telefon ze szpitala Paderewskiego. Sekretarka mi mówi, że dostałam już affidavit. To jest taki dokument upoważniający mnie, że za parę dni dostanę paszport do Ameryki. A Włodek dzwoni z tych wysp, jakieś tam Owcz



Wyspy, nie wiem, Orkneje, zdaje się tam. W każdym... Dzwoni do mnie i mówi: „Co ty?”, a ja zdenerwowana i mu mówię o tym, i w ogóle ta rozmowa była tak wzruszająca i tak tego, bo myśmy sobie już nie wyobrażali, żebyśmy byli, żebym ja zrezygnowała z niego, a on ze mnie. I wtedy jak wróciłam do Galan, Włodzio przyjechał, napisaliśmy bardzo serdeczny, piękny list do pani Pardy o naszym uczuciu wielkim, o tym i nie pojechałam do Ameryki.